

Jeden z najważniejszych brytyjskich autorów kryminałów

DAILY MAIL

TONY PARSONS

KLUB WISIELCÓW

DETEKTYW
MAX WOLFE
#3

BOHATEROWIE CZY... KACI?

PROLOG

Po modlitwach

Po piątkowych modłach Mahmud Irani poszedł do swojej taksówki i kilka minut później zabrał człowieka, który miał go zabić.

Mężczyzna stał przed wejściem do londyńskiego zoo i mimo panującego w południe upału miał na sobie garnitur, krawat i zapiętą kamizelkę. Oczy były ukryte za ciemnymi okularami. Przywoływał taksówkę uniesioną ręką, jak gdyby oczekiwał, że Mahmud zaraz po modłach będzie objeżdżał Outer Circle w Regent's Park; jakby wiedział, że nadjedzie.

Jakby na niego czekał.

Mahmud podjechał do niego, wdychając zwierzęcą woń ogrodu zoologicznego, latem bardziej intensywną.

– Tylko gotówka, szefie – powiedział.

Mężczyzna skinął głową, zerknął na komórkę i pokazał ją Mahmudowi. Na ekranie iPhone'a widniała mapa City z celem podróży zaznaczonym na czerwono.

Newgate Street, EC1.

Niespełna siedem kilometrów, ale trzeba będzie przejechać

przez miasto zablokowane w porze lunchu. Mahmud mruknął, niechętnie wyrażając zgodę, i patrzył, jak pasażer zajmuje miejsce z tyłu.

W milczeniu sunęli na wschód przez skwarne miasto.

Skręcając w Newgate, taksówkarz zobaczył w lusterku wstecznym, jak pasażer wyjmuje niewielkie etui na karty kredytowe, i westchnął. Ile razy trzeba powtarzać tym matołom?

– Tylko gotówka – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo, i poprawił przepoconą koszulkę.

Pasażer nie wyjmował jednak karty kredytowej.

Pochyliwszy się do przodu, przytknął staromodną brzytwę do prawej powieki Mahmuda.

Ten wciągnął powietrze i zatrzymał je w płucach.

Czuł, jak zimne stalowe ostrze zagłębia się w miękkie ciało pod brwią. Okrywająca oko delikatna skóra drżała pod brzytwą. Wezbrało w nim czyste przerażenie.

– Proszę – powiedział. – Proszę. Weź pieniądze. Są pod moim siedzeniem.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu się zaśmiał.

– Nie chcę twojej forsy. Jedź dalej. Bez numerów.

Zgodnie z jego wskazówkami Mahmud dojechał do końca ulicy, po czym skręcił w lewo na olbrzymi opustoszały plac budowy – enklawę całkowitej ciszy i pustki, która w mieście może człowieka zaskoczyć. Byli tu sami. Przed nimi w nierównym gruncie ział wykop.

– Na dół – rozkazał pasażer.

– Mam żonę i dzieci.

– Na to już za późno, kolego.

Gdy ostrze brzytwy mocniej ucisnęło ciało Mahmuda, poczuł, jak gałka oczna się porusza; zebrało mu się na mdłości.

Kiedy wjeżdżał do wykopu, samochód podskoczył na progu zwalniającym; minęli gruzowisko i znaleźli się w pograżonych w półmroku podziemiach.

Co to za miejsce?

Mahmud nie potrafił stwierdzić, czy kiedyś był tu parking, czy dopiero będzie. Przed jego oczami rozpościerała się pusta przestrzeń z bardzo niskim sklepieniem. Jedynym oświetleniem tej osobliwej piwnicy były wpadające skądś promienie letniego słońca.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, nie mogąc przestać mówić.

Tym razem pasażer delikatnie przesunął brzytwę po powiece, najwyżej półtora centymetra, ale wystarczyło, by Mahmud krzyknął z bólu.

Z prawej powieki powoli spłynęła strużka krwi.

Potem już się nie odzywał.

Kiedy wysiedli z taksówki, przez chwilę sądził, że mógłby uciec, gdyby nie paraliżowało go przerażenie i niedowierzanie z powodu tego, co się działo; z powodu ciepłej krwi ciekącej teraz po obu stronach prawego oka. Lęk odebrał mu przytomność umysłu, i nawet jeśli Mahmud miał przez moment szansę na ucieczkę, to ją przegapił.

Nieznajomy stanął za nim i znów przyłożywszy ostrze brzytwy do miękkiej fałdki skóry nad prawym okiem, drugą ręką chwycił taksówkarza za nadgarstek i pociągnął za sobą.

Przecięli pustą przestrzeń i dotarli do drzwi.

Zeszli po schodach.

Powietrze było tu chłodniejsze.

Zagłębiali się w całkowitą ciemność, idąc wąskim korytarzem. Nagle z góry padła na nich cienka smuga światła dziennego. Mahmud dostrzegł stare płytki, pozieleniałe ze starości

i pod wpływem warunków atmosferycznych. Zrobiło się jeszcze zimniej. Lato było na odległej planecie. W powietrzu unosiła się woń stojącej wody. Wszystko razem rodziło w Mahmudzie poczucie wkraczania do innego świata.

Wtedy ich zobaczył.

Trzech.

Czarne maski skrywały twarze z wyjątkiem oczu.

Jeden trzymał coś, co świeciło na czerwono.

Kamerę skierowaną na Mahmuda Iraniego.

Nieopodal stał kuchenny taboret. Mahmud nie rozumiał, co się dzieje, gdy pomagano mu wejść na taboret i zakładano coś na szyję. Krew napływała mu do oczu, kiedy patrzył, jak jego pasażer rozmawia z mężczyzną trzymającym kamerę. Otarł dłonią krew, z trudem utrzymując równowagę na taborecie.

Nerwowo dotknął szyi.

Sznur.

Założyli mu go na szyję.

Spojrzawszy w górę, zobaczył, że sznur jest przywiązany do zardzewiałych rur na suficie.

Chwycili go za ręce i pociągnęli je za plecy.

Słowa popłynęły rwącym strumieniem. Mówił bez trudu. Teraz nawet brzytwa przytknięta do oka nie mogła zamknąć mu ust.

– Mam żonę i dzieci! – krzyknął, a echo odpowiedziało w tajemnej piwnicy.

Żonę i dzieci!

Żonę i dzieci!

– Jestem tylko taksówkarzem! Proszę! Macie niewłaściwego człowieka!

Mężczyzna z taksówki właśnie zakładał na twarz czarną maskę. Jak kat.

– Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji? – zwrócił się do Mahmuda Iraniego.

– Co takiego? – wykrztusił Mahmud. – Nie rozumiem. Co? Jestem taksówkarzem...

Słowa ugrzęzły mu w gardle, ponieważ za czerwonym światłem kamery jeden z mężczyzn przyczepiał do starych białych płytek kartki papieru formatu A4.

Portrety ściągnięte z internetu.

Same twarze dziewcząt. Młodych dziewcząt. Uśmiechniętych dziewcząt.

Wszystkie się uśmiechały, chociaż niektóre sztywno i nieśmiało, inne zaś naturalnie i pewnie.

Każda uśmiechała się na swój własny sposób. Szkolny fotograf nalegał, aby się uśmiechały, zachęcał je do tego, wręcz je rozśmieszał.

Na ścianie wisały szkolne fotografie, jakie robi się co rok, by uwiecznić i uhonorować dorastanie uczniów. Dziewczęta uchwycono w ulotnej chwili, gdy trwały w zawieszeniu między niedawnym dzieciństwem a czekającą je kobiecością.

Uśmiechnięte twarze patrzyły na Mahmuda Iraniego.

Znał je. Wszystkie bez wyjątku.

Poznał te twarze w pokojach pełnych roześmianych mężczyzn. Słyszał, jak wołały o pomoc, która nie nadchodziła. Widział, jak traciły przytomność, oszołomione tanim alkoholem i mocnymi narkotykami, jak zdejmowano z nich ubranie.

Razem z innymi mężczyznami śmiał się z tych dziewcząt.

– Dziwki – wycedził z goryczą, pogardą i gniewem. – Tanie dziwki, które lubią alkohol i narkotyki. Wywłoki, które się

obnażają. Takie, co lubią mężczyzn. Typowe dziewczyny z tego kraju. Posłuchajcie mnie! To nie są przyzwoite dziewczyny. Wy-słuchacie mnie?

Ktoś kopał w taboret.

– Dziwki. – Mohamed Irani splunął, a potem nie wymówił już żadnego słowa, ponieważ taboret zniknął, sznur momentalnie wbił się głęboko w szyję, a nogi zaczęły wierzgać w powietrzu.

Zrobił w spodnie.

Czerwone światło patrzyło, jak oszalały z paniki i potwornego bólu, wije się, rzuca i skręca, podczas gdy sznur wrzyna się w jego ciało, z każdą sekundą coraz głębiej.

Najpierw sznur ścisnął żyłę szyjną wewnętrzną, potem wbił się głębiej w tętnicę, zatrzymując dopływ krwi do mózgu i gwałtownie go wyłączając. Mózg Mahmuda natychmiast spuchł, oczy uciekły w tył głowy, język wysunął się z ust. Z głębi zaciśniętej szyi dobył się zduszony charkot.

Czerwone światło patrzyło, jak sznur dusi Mahmuda.

Co za ból!

Nie zdawał sobie sprawy, że na świecie jest tyle bólu. Minuty wlokły się jak stulecia. Po upływie niespełna pięciu minut, choć wydawało mu się, że to tysiąc lat, w końcu przestał wierzgać, a ręce opadły luźno wzdłuż ciała.

Mahmud Irani wydał ostatnie tchnienie w piwnicy z białej cegły, ukrytej głęboko pod miastem.

Czerwone światło zgasło.

Dziewczęta na ścianie nadal się uśmiechały.

1

Siedzieliśmy w Pierwszym Sądzie w Old Bailey, czekając na sprawiedliwość.

– Proszę powstać – powiedział woźny.

Nie puszczając dłoni kobiety u mego boku, podniosłem się z miejsca. Długi dzień wreszcie zbliżał się do końca.

Znajdowaliśmy się tu z powodu człowieka, który przez blisko dwadzieścia lat był jej mężem, człowieka, którego nigdy nie poznałem, choć chyba ze sto razy widziałem, jak umiera.

Patrzyłem, jak wychodzi z ich skromnego domu w ciepły wiosenny wieczór, mężczyzna w średnim wieku, w piżamie i kapciach. Chciał tylko zachować się przyzwoicie, zrobić to, co należy, przede wszystkim chronić swoją rodzinę. Widziałem, jak trzech młodych ludzi, siedzących teraz na ławie oskarżonych, powaliło go na ziemię i skopało na śmierć.

Sto razy widziałem, jak umiera, ponieważ jeden z tej trójki nagrał wszystko telefonem. Mały ekran trząsł się z rozbawienia, chwiał się od śmiechu; jasny marcowy wieczór umożliwiał dobrą jakość nagrania. Raz po raz widziałem, jak umiera, aż

głowę wypełnił mi bezgłośny krzyk, który nie opuszczał mnie w snach.

– Był dobrym człowiekiem – szepnęła Alice, wdowa po zamordowanym i dla podkreślenia tych słów ścisnęła mnie za rękę. Czując jej palce wpijające się w moją dłoń, przytaknąłem. Po drugiej stronie Alice stała dwójka jej nastoletnich dzieci: dziewczyna w wieku około szesnastu lat i o rok młodszy chłopak. Dalej stała kobieta przed trzydziestką, przedstawicielka policji do kontaktów z rodziną.

Według mnie, Centralny Sąd Kryminalny – tak bowiem brzmiała pełna nazwa Old Bailey – nie był odpowiednim miejscem dla dzieci, zwłaszcza takich, które widziały przez okno swego domu, jak mordują ich ojca.

Policjantka od kontaktów z rodziną – przyzwoita, troskliwa młoda kobieta z wyższym wykształceniem, która nadal wierzyła, że świat jest w gruncie rzeczy przyjaznym miejscem – powiedziała, że przyszli tu, aby zamknąć sprawę. Zamknięcie nie było jednak właściwym określeniem tego, co chcieli znaleźć w Old Bailey.

Chcieli sprawiedliwości.

Potrzebowali jej, by móc wierzyć, że cokolwiek jeszcze ma sens.

Kiedy po raz pierwszy udałem się do ich domu w ten marcowy wieczór, w towarzystwie komisarz Pat Whitestone i detektyw Edie Wren, utrzymywał się jeszcze zimowy chłód. Teraz był lipiec i miasto ledwie zipało z powodu największych upałów znanych meteorologom. Choć upłynęło zaledwie kilka miesięcy, kobieta i dzieci wyraźnie się postarzelili, co nie ma większego związku z upływem czasu. Cała trójka przeżyła traumę.

Dla naszego wydziału zabójstw w komisariacie głównym na West Endzie, przy Savile Row 27, sprawa była prosta. Nie

dało się jej nazwać rutynową, ponieważ brutalne zabicie człowieka nigdy nie jest rutyną, lecz w smartfonach tych matolów z ławy oskarżonych znajdowały się dowody obciążające, a krew zamordowanego pozostała na ich dłoniach i ubraniach. Nasi ludzie nie mieli trudnego zadania.

Nie polowaliśmy na geniuszów zbrodni. Kiedy aresztowaliśmy podejrzanych, wciąż mieli świeżą krew na tenisówkach. Mieliśmy do czynienia z trzema chuliganami, którzy posunęli się o wiele za daleko.

Dla mnie jednak sprawa miała wymiar osobisty.

Ponieważ go znałem. Zamordowanego. Utraconego męża, skradzionego ojca. Nazywał się Steve Goddard. Miał czterdzieści lat.

W życiu go nie spotkałem, ale wiedziałem, co zmusiło go do wyjścia z domu, kiedy trzech chuligani sikali na samochód jego żony. Rozumiałem go. Mógł odpuścić, zignorować hałas, śmiechy, ohydny obrazę pod adresem jego rodziny oraz ulicy, przy której mieszkał, wyszydzenie wszystkiego, co kochał.

Zdawałem sobie sprawę, że wychodzenie w kapciach do tych trzech nie miało sensu. Bo nie było warto. Powinien był nastawić głośniej telewizor, zaciągnąć zasłony, a potem patrzeć, jak jego dzieci dorastają, żenią się i wychodzą za mąż, mają własne dzieci; powinien był zostać w domu, by móc zestarzeć się u boku żony. Tak, powinien...

Rozumiałem jednak, dlaczego ten przyzwoity człowiek nie mógł siedzieć beczynn timer.

– Czy przysięgli uzgodnili wyrok? – zapytał sędzia.

Przewodniczący ławy przysięgłych odchrząknął. Ponownie poczułem, jak paznokcie Alice wpijają się w moją dłoń, tym razem głębiej. Na twarzach trzech oskarżonych – podczas pro-

cesu wyrażających skwaszoną tępotę – po raz pierwszy dało się dostrzec strach.

– Tak, Wysoki Sądzie – odpowiedział przewodniczący.

Przysięgli nie podają powodów. Nie muszą tego robić. Przysięgli wydają orzeczenia.

– Winny.

– Winny.

– Winny.

Nie uczestniczą też w ustalaniu kary. Wszyscy spojrzeliśmy na sędziego, starego człowieka o papierowej cerze, który patrzył na nas spod peruki, zza okularów, jakby znał tajemnice naszych dusz.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci jest poważnym przestępstwem – zagrzemiał, tocząc groźnym spojrzeniem po sali sądowej. – Jest zagrożone maksymalną karą dożywotniego więzienia.

– Nie! – zawołała na galerii kobieta z wytatuowanym drutem kolczastym na odsłoniętych ramionach. To pewnie matka jednego z chłopaków, pomyślałem. Od blisko dwudziestu lat nie widziano żadnego z ich ojców.

Sędzia uderzył młotkiem i zażądał spokoju, bo w przeciwnym razie każe opuścić salę.

– Sąd przy ustalaniu wyroku musi mieć na uwadze dobro społeczne i brać pod uwagę odstrasżającą funkcję kary – ciągnął. – Jednakże ustawa o wymiarze sprawiedliwości wymaga, by sąd uwzględniał faktyczną winę oskarżonego. Dopuszczam możliwość, że ofiara zmarła w wyniku krwotoku podpajęcznikowego jeszcze przed upadkiem na ziemię. A to by oznaczało, że śmierć nastąpiła w wyniku jednego uderzenia.

– Ale co to znaczy? – dopytywał się syn zabitego, podobnie jak ojciec noszący imię Steve. Matka uciszyła go, nawet teraz, w takim miejscu, przestrzegając dobrych manier.

To znaczy, że tych trzech Boże Narodzenie spędzi już w domu, pomyślałem i zebrało mi się na mdłości.

To znaczy, że sukinsynom się upieczce.

Nie miało znaczenia, że kopali w głowę leżącego Steve’a Goddarda, że oddali mocz na jego ciało, a nagranie umieścili na YouTube.

Wszystko to nie miało znaczenia, ponieważ sędzia łyknął przedstawione przez obronę dowody świadczące o tym, że człowiek, który zaatakował trzech nieuzbrojonych chłopców, zmarł, zanim padł na ziemię.

Postaraj się o odpowiedniego obrońcę, a wymigasz się ze wszystkiego.

– Ponadto muszę też uwzględnić okoliczności łagodzące wynikające z faktu, że zmarły usiłował atakować oskarżonych – ciągnął sędzia. – Widzę, że wszyscy trzej nie jesteście źli z natury. Skazuję was na dwanaście miesięcy więzienia.

Było po wszystkim.

Spojrzałem na twarz Alice Goddard. Nic z tego nie pojmowała. Nie rozumiała, dlaczego jej mąż zginął trzydzieści lat wcześniej. Nie rozumiała słów sędziego ani dlaczego oskarżeni się śmiali, podczas gdy jej dzieci cicho płakały. Chciałem coś powiedzieć, ale nie było nic do powiedzenia. Nie potrafiłem znaleźć słów, które mogłyby ich pocieszyć.

Alice Goddard puściła moją dłoń. Cała sprawa zakończyła się dla wszystkich oprócz niej i jej dzieci. Dla nich nigdy nie miała się skończyć.

Uśmiechała się, co rozdzierało mi serce. Spięty, straszny uśmiech.

– W porządku, Max – powiedziała. – Naprawdę. Nic nie mogło przywrócić mi mojego Steve’a, prawda?

Bardzo chciała mnie zapewnić, że to nie moja wina.

Spojrzałem na oskarżonych. Znali mnie. Ja ich znałem. W pokoju przesłuchań widziałem, jak jeden z nich płacze za matką. Drugi zmoczył się ze strachu przed więzieniem. Trzeci w ciągu całego procesu miał pusty wzrok; niczego nie kojarzył, nie było dla niego nadziei.

Kiedy ich aresztowano, przesłuchiowano i postawiono w stan oskarżenia, każdy z tych trzech młodych ludzi zachowywał się inaczej.

Tchórz. Słabeusz. Osilek terroryzujący słabszych.

Teraz znowu stali się jednością. Znów byli bandą. Owszem, szli za kratki, ale za pół roku mieli wrócić do domu. Odebranie komuś życia nie będzie miało wpływu na ich własne. Z pewnością da im pewną pozycję w okrutnym świecie, w jakim żyli.

Wezbrał we mnie gniew. Wstałem z miejsca i ruszyłem do tych trzech. Woźny sądowy zastąpił mi drogę, unosząc potężne dłonie, ale milczał i niczym mi nie groził, jeśli tylko się wycofam.

– Niech pan da spokój – powiedział.

Postąpiłem rozsądnie. Nie zrobiłem nic.

To był typowy woźny sądu Old Bailey; zachowywał się częściowo jak dyplomata, częściowo jak wykidajło. Spojrzał na mnie współczująco z nieznacznym uśmiechem – nie szyderczym, lecz smutnym – a ja po chwili zdławiłem w sobie mdłości towarzyszące gniewowi.

Twarz płonęła mi ze wstydu.

Zanim trzech młodzi chuligani zostali wyprowadzeni, posłali mi uśmieški.

Już widziałem ten wyraz twarzy.

Zbyt wiele razy.

Wyraz twarzy człowieka, który wie, że popełnił morderstwo, ale mu się upiekło.

2

Później, tego samego dnia, patrzyliśmy, jak wieszają człowieka.

Nagranie z egzekucji oglądaliśmy na dużym ekranie telewizora HD w sali numer jeden w komisariacie głównym na West Endzie. Początkowo nie byliśmy pewni, na co patrzymy; oszołomieni faktem, że można w internecie oglądać egzekucję człowieka, nie mieliśmy nawet pewności, czy to prawda.

Ignorując telefony dzwoniące w całej sali, wczesnym wieczorem staliśmy przy naszych stanowiskach pracy i patrzyliśmy, jak pomagają mężczyźnie wejść na kuchenny taboret i zakładają mu na szyję pętlę.

Potem ta upiorna wymiana zdań między dwoma mężczyznami.

„Czy wiesz, dlaczego przywieziono cię na to miejsce egzekucji?”

„Co takiego? Nie rozumiem. Co? Jestem taksówkarzem...”

Głos pierwszego mężczyzny tłumiała maska. Głos drugiego był zduszony z przerażenia.

– Kto to jest? – zapytała komisarz Pat Whitestone.

– IC4 – odparła detektyw Edie Wren, przesuając dłonią po rudych włosach i nie odrywając wzroku od dużego ekranu. IC4 oznaczało, że człowiek z pętlą na szyi pochodził z południowej Azji. – Około czterdziestu lat. Nieogolony. Dżinsy. Sportowa koszulka Lacoste.

– Podróbka Lacoste – sprecyzowałem. – Krokodyłek patrzy w niewłaściwą stronę.

– Gdzie to się odbywa, Max? – spytała Whitestone.

Podszedłem do ekranu. Nagranie było dobrej jakości, ale w pomieszczeniu, w którym odbywała się egzekucja, panował mrok. W cieniu dostrzegłem białe kafelki lub cegły poźółkłe ze starości.

Miałem wrażenie, że widziałem już to miejsce. Część Londynu tuż za rogiem, ale odległa o całe stulecie, poza zasięgiem pamięci. Cofnąłem się od ekranu.

– Nie wiem – przyznałem.

– Co oni mu robią? – spytał detektyw posterunkowy Billy Greene, odbywający u nas staż.

Na ekranie ktoś kopnął taboret. Bez słowa patrzyliśmy, jak człowiek zawisa, ciało skręca się i podryguje w powietrzu, a jedynym odgłosem jest zduszony charkot dobywający się z gardła. Kiedy wisielec zaczął robić w spodnie, kamerzysta skierował kamerę na trzy osoby w ciemnych strojach i czarnych maskach, spod których widać było jedynie oczy. Stali oparci plecami o poźółkłe ściany.

– Jest ich trzech lub czterech – powiedziałem. – Może więcej. Noszą maski narciarskie... Nie, to są maski taktyczne z no-mexu czy coś w tym rodzaju. – Po chwili dodałem: – Ci goście znają się na rzeczy.

W miarę jak z wisielca uchodziło życie, jego twarz zaczęła zmieniać kolor. Wreszcie znieruchomiał i było po wszystkim. Nagranie trwające dziesięć minut i dwadzieścia jeden sekund nagle zaczęło krążyć po całym świecie.

– Widzicie ten hasztag? – powiedziała Edie pochylona nad swoim laptopem. – Jest wszędzie: *przywroccie*. Przywróćcie.

– Przywróćcie co? – spytał stażysta Greene.

– Puść to jeszcze raz – poleciła Whitestone. – Odbieraj telefony, Billy. Edie, sprawdź, skąd pochodzi ten hasztag.

Edie zaczęła stukać w klawiaturę.

– Czy to ci wygląda na morderstwo na tle nienawiści rasowej, Max? – zapytała Whitestone.

– Scena przypomina samosąd, więc może tak – odparłem.

– Gotowe – oznajmiła Edie i na dużym ekranie pojawił się pasek.

Ujrzeliśmy czarno-białe zdjęcie z połowy dwudziestego wieku, przedstawiające uśmiechniętego mężczyznę o króliczej twarzy. Konto nazywało się *@AlbertPierrepointUK*. Żadnej wiadomości. Tylko *#przywroccie* oraz link do filmu z egzekucji.

– Liczba odwiedzających wynosi niespełna dwadzieścia pięć tysięcy – powiedziała Edie. – Nie, już jest ponad siedemdziesiąt osiem tysięcy. Poczekajcie. – Oparła się na krzesło i westchnęła. – Kurczę, ten Albert Pierrepoint to popularny facet. Dlaczego to nazwisko brzmi znajomo?

– Albert Pierrepoint był najśłynniejszym katem w tym kraju – wyjaśniłem. – Przeprowadził ponad czterysta egzekucji, w tym wielu nazistów w Norymberdze.

– Ktoś właśnie dzwonił na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć – oznajmił Billy, odkładając słuchawkę. – Kobieta rozpoznała ofiarę. – Spojrzał na ekran i skrzywił się na widok

człowieka w ostatnich drgawkach agonii. – Kobieta nazywa się Fatima Irani, mieszka w Bethnal Green. Ten człowiek to jej mąż, Mahmud Irani.

– Jak się pisze jego nazwisko? – spytała Whitestone. – Masz datę urodzenia? Opis ubrania, które miał na sobie?

Greene przeczytał to, co zapisał na kartce, po czym spojrział na ekran.

– Mówiła, że jej mąż miał na sobie džinsy i koszulkę z krokodylkami. – Pochylił się i zwymiotował do kosza. Po chwili doszedł do siebie. – Przepraszam.

– Puść to jeszcze raz – poleciła Whitestone. – Napij się wody, Billy. Sprawdzasz w państwowym komputerze policyjnym, Edie?

Edie wpisała do bazy komputera: *Mahmud Irani*.

– Siedział – rzuciła. – Zaliczył sześć lat z dwunastu, na które został skazany. Należał do gangu z Hackney. Nie odpuszczali nawet jedenastoletnim dziewczynkom. Wiele ich ofiar zaszło w ciążę, ale nie wszystkie. Niektórzy członkowie gangu dostali dożywocie. Mahmuda Iraniego uznano za winnego handlu ludźmi. Jest taksówkarzem... a raczej był. Dostał stosunkowo lekką karę.

Po raz trzeci obejrzelśmy, jak go wieszają.

– Może wcale nie taką lekką, jeśli te sprawy są powiązane – stwierdziłem.

W drzwiach sali stanął młody Chińczyk, Colin Cho. Pracował w centralnej jednostce policji do spraw przestępczości internetowej, powołanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w celu przeciwdziałania najpoważniejszym przestępstwom w sieci.

– Szukamy Alberta Pierrepointa – zwrócił się do komisarz Whitestone, wskazując ekran ruchem głowy. – On... Oni najwy-

rażniej korzystają z tej samej technologii co terroryści i ludzie zajmujący się pornografią. Konto zostało przepuszczone przez urządzenie ukrywające tożsamość, zacierające wszelkie ślady cyfrowe. Nie jest to jednak Tor ani 12P. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jest silna presja polityczna, medialna oraz ze strony użytkowników internetu i zaniepokojonych rodziców, którzy domagają się zdjęcia tego filmu w imię przyzwoitości, ale przekonaliśmy ich, by pozostawić go do czasu, aż ustalimy adres IP nadawcy. Oczywiście zrobiliśmy to nieoficjalnie.

– Dzięki, Colin – powiedziała Whitestone i spojrzała na swój telefon. – Poinformowano nas, że w Hyde Parku znaleziono ciało. Jeszcze go nie zidentyfikowano. – Popatrzyła na ekran, potem na mnie. – Oficer dyżurny mówił, że denat ma na sobie koszulkę z krokodylkiem.

– Hyde Park? – zdziwiłem się. – Ciało znaleziono w parku? – Popatrzyłem na ekran, na pomieszczenie wyłożone brudnymi białymi kafelkami. – Oni nie zrobili tego w parku.

Pomyślałem o podziemnych parkingach dużych hoteli przy Park Lane, po wschodniej stronie Hyde Parku. Żaden z nich nie przypominał jednak pomieszczenia, w którym powieszono Mahmuda Iraniego. To miejsce pochodziło z innego stulecia.

Na ekranie telewizora zobaczyliśmy, że @AlbertPierrepoin-tUK rozprzestrzenia się jak wirus.

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

– Myślę, że ktoś właśnie przywrócił karę śmierci – odezwał się.

Edie wcisnęła klawisz PLAY i Mahmud Irani miał zawisnąć ponownie.

– Ale kto chciałby mu robić coś takiego? – zapytał nowy chłopak, stażysta Greene, a ja przypomniałem sobie o gangu z Hackney. Gdy szedłem do drzwi, w mojej głowie pojawiła się myśl.

A kto by nie chciał?